

LIST LUDWIKA STOMMY Z PARYŻA DO REDAKCJI WYŚLANY A OPATRZONY TYTUŁEM:
SŁOŃ A SPRAWA ETNOLOGII

2 maja 1982, przylądek Beg er Vil, godzina 11,30. Fala Atlantyku zapada się w przybrzeżnej skale. Zlany wodą szaroczerń kamienia ożywa na chwilę migotem kolorowych słonecznych węzowisk. Lecz oto woda, jakby z wnętrza skały, powraca wirami pian ubierających głazy w stargany fartuch bieli. Grzbiet kamienia wysuwa się spod nich w głębokiej czerni popielejącej natychmiast w słońcu. Kolejna fala jest większa i kładzie się skosem na szarym tle. Skała znika zupełnie pod niebiesko-zielonym naporem, by powrócić niespodziewanie w rozblasku gasnącej jasności. I znów kłębowisko oceanu zgranatowiałego teraz od zasłaniającego słońce białego obłoku zabiera światło z rafy. Lecz wiatr spycha chmurkę zlewając morze i brzeg w jedno okamgnienne olśnienie. Potem znowu czerń z bielą i błękitem, złoto, zieleń i srebrne odbicia drobin kwarcu na chropowatej skórze kamieni...

Ocean jest zielony? Nieprawda, ocean nie jest zielony.

Ocean jest niebieski? Nieprawda, ocean nie jest niebieski.

Ocean jest złoty? Nieprawda, ocean nie jest złoty.

Ocean jest czarny? Nieprawda, ocean nie jest czarny.

Ocean jest i zielony i niebieski i złoty i czarny i zielono-złoto-czarny i niebiesko-czarno-zielony i tysiąca jeszcze kolorów. Ale nie jest też ocean syntezą barw. Oceanem są również jego zapachy, jego wilgocie, jego odgłosy... Natura oceanu jest tajemnicza, wieloraka i wszelka. Jest nieopisywalna.

Kultura — powiadają ewolucjoniści (a implicite również i funkcyjoniści) — jest wynikiem poznawania i osvajania natury przez człowieka. Na czym jednak polega ludzkie poznawanie i osvajanie natury? — Przede wszystkim, przed jakimkolwiek innymi działaniami, na nazywaniu i ustanawianiu relacji między nazwanym. Ocean nigdy nie stanie się obiektem kultury; elementem dziedzictwa kulturowego są natomiast jego przedstawienia. Ocean zielony, ocean niebieski, ocean złoty, ocean czarny. Opisy nieopisywalnego.

Godzina 14,30. Szosą wijącą się po skarpie półwyspu Quiberon jedziemy w kierunku Port Louis. Kaseta Charles Dumont i równy szum silnika głąszą odgłosy fal, smród petów z niedomkniętej popielniczki tłumi skutecznie wszelkie powiewy morza. Ocean za oknami zmienia się w jednowymiarowy landschaft. „Zawsze myślałam, że widokówki z Atlantyku są podkolorowane — mówi Ewa — to wręcz nie do wyobrażenia, że ocean jest taki niebieski...” Catherine i Marek potakują. Zgadzaamy się wszyscy. Ocean jest niebieski? Nieprawda; ocean nie jest niebieski. Owszem, nie jest niebieskie to niejasne, intymne przecucie oceanu, zaduma jego tajemnicy, którą każde z nas z osobna uwozi ze sobą po serpentynach Quiberon. Ale skonstatowano wszakże słusznie w podręcznikach, że „elementem kultury jest to tylko, co zostało społecznie zobiektywizowane” (Czarnowski). Społecznie zobiektywizowane, a więc przekazane. Przekazane, a więc nazwane i opisane. Opisane nieopisywalne. A więc jednak ocean jest niebieski. Niebieska jest kultura oceanu na przylądku Beg er Vil.

Nazywanie i ustanawianie relacji między nazwanym, to nie innego jak rozkuwawkowywanie ciągłego, ustatycznianie dynamicznego, dzielenie niepodzielnego, opisywanie nieopisywalnego. Owoż „poznawanie świata”, włączanie go do kultury jest więc

w swojej istocie aktem par excellence kreatywnym. Jest odległym od realizmu stwarzaniem świata całkowicie na nowo. Nie jest poznawaniem w sensie zbliżania się do jądra tajemnicy, ale powoływaniem do życia, kodyfikowaniem i porządkowaniem nazwań. Świat jest być może takim, jakim jest; ale napewno nie jest takim, jakim jest grzebiel i kiedykolwiek przedstawiony. Dlatego też świat jakim jest nie jest i być nie może przedmiotem refleksji antropologicznej czy etnologicznej.

Godzina 21,00. Już za Mont St. Michel. Zapada zmrok. Do Paryża jeszcze ok. 360 km. Mniej więcej Myślenice—Warszawa. Kolejne kilkadziesiąt kilometrów. „No, to jesteśmy już w Krakowie — rzucam znad kierownicy do Marka — zaraz wjedziemy na Most Dębnicki...” „Co to jest Most Tépmitzki — pyta Catherine — czy wy ciągle musicie być tacy nostalgiczni?” Jakże jej wytłumaczyć, że Kraków wspomniany koło Fougères nie ma tym razem nic wspólnego z nostalgią; że jest po to prostu kwestia przykładania skały, porządkowania nieznanego podług znanego. Ale skała zawodzi. Przed Laval wjeżdżamy bowiem na autostradę A 11. Również nasz Ford różni się parametrami technicznymi od Fiata 126p. Po niecałych trzech godzinach Paryż. 300 km z Laval do Paryża okazało się nieporównywalnie krótsze od 300 km z Krakowa do Warszawy. Gdy miałem siedem lat trasa z ulicy Czarnowiejskiej w Krakowie (nr 30) do kościoła SS. Sercanek (gdzie bywałem ministrantem) wydawała mi się uciążliwie długa. Dzisiaj tych paru kroków spaceru właściwie nie zauważam. LOT-em bliżej głosi slogan reklamowy. I oczywiście, że (od czego bliżej?) bliżej.

Nawet więc kategorie przestrzenne tak oczywiście z pozoru wymierne i obiektywne okazują się co chwila względne, zrelatywizowane społecznie, historycznie, czy ekonomicznie (Ford a 126p). Ale zasada zachowania struktury społecznej wyklucza relatywizm pojęciowy. Mamy więc ustalone „blisko” i „daleko”, mamy nasze uświęcone kilometry. Na kamiennym słupie koło PKiN w Warszawie wryto cyfry obrazujące odległość w kilometrach do poszczególnych europejskich metropolii. Okazuje się, że np. do Kopenhagi jest Warszawiakowi dwa razy bliżej, niż do Sofii... Warszawska ulica ochrzciła ten miernik rzeczywistości „Słupem Śmiechu”. Oto perspektywa prawdziwie antropologiczna. Na ulice, uczeni w piśmie!

Geodeta ma obowiązek tworzyć swoje konstrukcje w oparciu o rzędy metrycznych wskaźników; byłby nierzetelny, gdyby lekceważył je sobie. Książd winien odwoływać się do objawienia; byłby małowierny relatywizując wskazania moralne i społeczne Pisma Świętego... Domeną antropologa jest — jak wiemy — ów akt twórczy świadomości zbiorowej pokoleń, który zwykliśmy nazywać kulturą. Ów skodyfikowany mit rzeczywistości, który zwykliśmy nazywać kulturą. Mit zaś ze swej natury jest dowolny-jednostronny, względny. Dopiero chimeryczna akceptacja społeczna wciela go w poczet samoprzeziębłości. W przeciwieństwie więc do sytuacji księdza lub geodety, etnolog za-przeczył by swojemu powołaniu, gdyby uznał za narzędzia badawcze „zobiektywizowane miary”, „święte prawa”, „paradygmat natury ludzkiej”, „prawdy objawione”, „niebieskość oceanu”... Tak, wówczas przestałby być etnologiem.

Godzina 1,45. Fontenay le Fleury. W półmroku wsłuchuje się we włoski akcent Catherine i półfrancuszczyznę Marka. Zmęczona wymiana wrażeń. Jest już 3 maja, więc w szkle butelek odbijają się pomieszane obrazy z Bretanii, z Mont St. Michel i z kraju. Stanisław Małachowski przechadzający się po Breście. Bretania zapamiętana przez Catherine nabiera chwilami kolorytu Piazza Navona. U Marka skały Atlantyku wypisz wymaluj z Doliny Pięciu Stawów... Tak różne relacje z tej samej drogi. Tak różne Bretanie. Catherine inna niż moja, moja inna niż Marka, Marka inna niż Catherine, moja inna niż Catherine, Marka inna niż moja, Catherine inna niż Marka.

Etnologia narodziła się z fascynacji innością, ze spotkania z kulturą inną niż moja. Trzeba jednak było prawie wieku doświadczeń, by ta inność stała się obustronna, by etnologia wyżyła się złudnego przekonania o irracjonalności tego, co inne niż moje. Moje normy, wierzenia, obyczaje, prawa są inne niż twoje; twoje inne niż moje. Moje są niekoherentne, a więc „irracjonalne” w systemie twojej kultury; twoje w systemie mojej. Twoje i moje tak samo się mają do owej „prawdziwej i racjonalnej rzeczywistości” z pozytywistycznych marzeń. Tak samo, czyli nijak. Współczesna etnologia zrezygnowała na zawsze z wiary w hierarchię i racjonalność kultur. A że wciąż, na peryferiach dyscypliny, znajdują się i znajdować się będą mierniczy racjonalności np. „praktyk ludowych?” — Taka sama dobra zabawa, jak każda inna. Lepienie bałwanów z niegdysiejszych śniegów.

Rezygnacja z wiary w uprzywilejowaną pozycję własnej kultury; uznanie swojego własnego myślenia i postępowania za taki sam przedmiot analizy etnologicznej, jak w przypadku mieszkańca Wysp Dziewiczych, a nawet Poznaniaka (!), pociąga wszakże za sobą i pociągać musi dwie nieuchronne, a ściśle ze sobą związane, konsekwencje:

1. „Ale Świętości nie szargać bo trza, żeby święte były”... Otóż nie uznający prawdy w „niebieskości oceanu” etnolog musi być w każdej chwili gotowy właśnie do owychże społecznych świętości szargania. Patrząc np. na ceremonię dekoracji orderem *Virtuti Militari* etnolog winien oczywiście znać burzliwe dzieje tego odznaczenia zrodzonego w walkach pod Zieleńcami i na grobli boruszkowickiej, rozumieć więc jego symbolikę i wartość emocjonalną. Nie może jednak ująć uwagi etnologa i ludyczny aspekt wydarzenia, w którym najbardziej nawet patetyczny order (to nie przez przypadek wytworzył się zwyczaj obmedalowywania z okazji urodzin, jubileuszy, czy przybycia w gości) pełni funkcję dyskretną męskiej biżuterii (baretki są tu równoważnikiem Jablonexu naśladowującego zamknięte w sejfie kamienie). Zonie kolię i perfumy (dodają uroku), mężowi order i honoris causa (dodają powagi). Rozważanie na temat: „*Virtuti Militari* jako breloczek” nie powinno więc przerażać etnologa. Nawet jeśli to będzie *Virtuti Militari* ze wstęgą.

2. Spojrzeć na siebie i swoje otoczenie jako na obiekt etnologiczny oznacza zauważenie w swoim, i otoczenia myśleniu i postępowaniu rzeczy tak samo „potwornych, bezsensownych i śmiesznych”, jak te, które spozstrzegał Frazer u ludów tzw. „pierwotnych”. Zauważanie tego wszystkiego, czego zauważyć się nie da z europocentrycznego, czy po prostu egocentrycznego piedestału. Zejść więc z tego piedestału! Czemuż to np. dziwaczne skróty wypisywane i wytłaczane na mosiężnych tabliczkach przed naszymi nazwiskami (Prof. dr; J.E.; W.P.; Tow. Gen.; Dr hab...) rozpatrywane mają być inaczej, niż będące takimi samymi wyznacznikami pozycji społecznej ilość i kolor koleczyków w nosie u Watusi? Przyjrzeć się wreszcie mitycznej umowności własnych pozycji, funkcji, strojów (bada się semantykę strojów ludowych, a garnitur pod muchą to pies?), tytułów, szacunków, figur w łóżku, swoich głębokich przekonań opartych na wpojonych przez tradycję, a obcych wielu innym kulturom, abstrakcyjnych pojęciach; swoich przyzwyczajęń, wyobrażeń o innych i o porządku świata! Z kogo się śmiać? — Śmiać się z siebie samych! Ale śmiech to nie tylko to, co głęboko różni nowoczesną etnografię od pozytywistycznej („ozłowieka od zwierza”).

Śmiech i kpina to również — jak napisał Vauvenargues w „*Réflexions et Maximes*” (1746) — „prawdziwe próby miłości”.

Wciąż Fontenay le Fleury. Noc. Godzina trzecia. a może i czwarta (nie później, bo o piątej świta). Catherine już śpi. Las oddycha za oknem. I tylko od czasu do czasu odległe narastanie i zaciechanie pociągów na linii Paryż—Rouen lub Caen (w Mantes linia się rozdziela). Rouen? Caen? Mantes? A co mnie to obchodzi? Przecież jadą te pociągi do kraju, na Wyspę Wielkanocną, do Bruxeli — gdzie poznałem śliczną Peruwiankę, jadę nimi z rodzicami gdziekolwiek, do Wenecji z moją byłą żoną, do Pernambuco z Jackiem, do Hong Kongu z moją żoną przyszłą, do Caracas z zaprzysiężą, do Marienbadu na starość. Do Paryża nie, bo Paryż na codzień i za blisko.

Catherine już śpi, więc — aplikując konsekwentnie definicję Czarnowskiego — moje nocne pociągi pozostają społecznie niezobiektywizowane, a zatem (przynajmniej do chwili wydrukowania niniejszego) nie staną się elementem kultury. Pozostaną jednostkowym, ulotnym omanem. Teoretycznie tak. Wiem jednak skąd inąd, że te moje marzenia na szynach nie są oryginalne, że dzieje je z moim tatą, z moją byłą żoną (Torzym), ze znajomymi i nieznanymi... „Kultura jest systemem dowolnie dobranych i zestawionych opozycji, których układ dopiero poprzez uspołecznienie staje się obowiązujący”. I gdzie tu miejsce na moje nie skodyfikowane i nieuspołecznione pociągi?

— Wbrew pozorom pytanie to nie wyznacza rozdroża współczesnej etnologii. Tablice Mendelejewa kultury zawierają wszakże mnóstwo relacji potencjalnych. Relacji, które mogą nie znajdować zobiektywizowanych społecznie manifestacji, są jednak — choćby jako antytezy jego reguł — implicite zawarte w systemie. Kultura rzuca swój cień — cień uczuć, marzeń, koszmarów i tęsknot. Etnologia marzeń to właściwie antyetnologia, gdyż związana byłaby ściśle z ludzkim pragnieniem zrzućcia tego niewygodnego gorsetu, jakim stawać się musi uspołeczniiony, a więc już obowiązujący fałszywy świat kultury, z takimi moimi pociągami, które czymże są innym, jak nie podświadomą chęcią rekonstruowania ciągłości przestrzeni. Etnologia tęsknot to z kolei etnologia par excellence, w której odczucie braku otwiera możliwość zauważenia specyfiki (konwencjonalności) tego, co dotychczas wydawało się samo przez się zrozumiałe i z samej „natury rzeczy” wynikać. Etnologia koszmarów... Na cóż wyliczać? — Ważne jest, że również strefy owego cienia kultury, jej aspektów potencjalnych, dostępne są współcześnie rozumianej etnologii. Nie bez kozery postulował więc Jerzy S. Wasilewski w *Po śmierci wędrować* egzegezy powieści jeszcze nie napisanych.

Powieści nienapisane jeszcze? Dzieła niestworzone? — Malarstwo jest wyodrębnieniem i łączeniem barwników, oraz nakładaniem ich podług pewnej zasady na płótno. To prawda. Ale skutkiem tego wyodrębniania, łączenia i nakładania jest obraz. Włączanie do kultury, to powoływanie do życia, kodyfikowanie i porządkowanie nazwań. To też prawda. Ale skutkiem tego powołania, kodyfikowania i porządkowania jest tkanka kultury w całej swojej wrażliwości. Znając obraz przewidzieć można w ogólnym zarysie, jakie reakcje wywoła on u widzów w określonym miejscu i czasie. Znając atajone mechanizmy kultury przewidzieć można w ogólnym zarysie marzenia i lęki jej uczestników, jak również powieści, które będą przez nich napisane. Ale sztuka chętnie przekracza granice szaleństwa. Szaleństwo zaś nie mieści się w żadnym ogólnym zarysie. Nie wszystkie więc powieści jeszcze nie napisane mogą stać się przedmiotem egzegezy antropologicznej. I tak dopiero ze szczytów aspiracji dyscypliny widać jak na dłoni jej limity. Również z tych ograniczeń doświadczenia etnologicznego winniśmy dobitnie zdawać sobie sprawę.

Oczywiście, można się i ludzi. Fontenay le Fleury 20 maja 1982. Poranna poczta. List od Zbyszka Benedyktowicza z odbitką jego artykułu, który pomimo odstręczająco-poprawno-sejntystycznego tytułu czytałem już parokrotnie. Z radością czytam na nowo. Ale są i wątpliwości: cytat z Eliadego: „Henryk Poincaré zapytywał nie bez ironii, czy przyrodnik, który bada

słonia jedynie przez mikroskop, może stwierdzić, że dostatecznie poznał naturę tego zwierzęcia? Mikroskop odkrywa strukturę i mechanizm komórek, które są identyczne dla wszystkich organizmów wielokomórkowych. Słoń jest niewątpliwie organizmem wielokomórkowym. Ale czy tylko tym? W skali mikroskopu można by się zastanawiać nad odpowiedzią. W skali wzroku ludzkiego, który przynajmniej dostrzega w słońcu zjawisko zoologiczne, nie ma już miejsca na wątpliwości. Podobnie zjawisko religijne ukaże się nam jako takie tylko wówczas (...), gdy będzie badane w skali religijnej". Tak, to byłby klucz do furtki wiodącej poza ograniczenia dyscypliny. To byłoby panaceum... Niestety — wypowiedź Eliadego zawiera niedopuszczalne nadużycia.

Jeżeli bowiem zjawisko religijne badane ma być w skali religijnej, to i odpowiednio słoń badany być winien w skali słońcowej, a „skala wzroku ludzkiego” jest tu ni przyzwoła. Po drugie: cóż to znaczy „jako taki”? Słoń jakim jest każdy widzi? Zaiste nie dane jest człowiekowi zgłębić słońca w słońcowej skali. Dlatego też usiłując go poznać stara się przykładać skale różne:

mikroskopu, swojego wzroku, lunety w której słońce małe jak mrówka, królestwa zwierząt... Twierdzenie zaś, że „tylko” jedna z tych skal ukaże nam słońca w jego niebywalej jakotakości (Mickiewicz jako taki, a jak nie taki, to jaki i dlaczego) bardziej niż niebezpiecznym totalitaryzmem metodologicznym, jest po prostu odwiecznym ludzkim złudzeniem docierania do jądra tajemnicy. Słoń nie jest ani zwinny, ani niezgrabny, ani szary, ani płowy, ani petulny i posłuszny, ani dziki i złośliwy. Jakotakość słońca jest nie tylko nieopisywalna; nie stanowi również przedmiotu zainteresowań etnologa. Żadna jakotakość!

Domeną etnologii jest natomiast słoń nazwane. Jest odległy od realizmu słoń stworzony na nowo. Różne słońce różnych kultur. Słońce grasujące po sklepach z „Włocławkiem”, słońce wspierające glob, standardowe słońce szare, niezgrabne i baaardzo duże, słońce Hannibala Barki, których lękały się legie, słoń, w którym mieszkał Gavroche, słońce a sprawa polska. Słońce nazwane, włączone do kultury, słońce naszych tęsknot i przeżyć...

